

Wszędzie tylko łokcie i zęby



Swietłana Aleksijewicz,
Czasy second-hand.
Koniec czerwonego człowieka, tłum. Jerzy Czech,
Wydawnictwo Czarne,
Wołowiec 2014

Proza Swietłany Aleksijewicz, „opowieści głosów”, przez brak – odczuwanego wręcz fizycznie – miejsca na oddech stwarza poczucie duszności. Odbieram tę twórczość również, albo nawet – najpierw, na poziomie fizjologicznym. Czytając, trzeba albo opanować szloch, jak przy lekturze *Czarnobylskiej modlitwy*, albo mdłości jak w przypadku jej najnowszej książki – *Czasy second-hand. Koniec czerwonego człowieka*. Dopiero potem można docenić przesłanie opowieści, układ i frazę.

Aleksijewicz, odbierając nagrodę Angelus za reportaż literacki, powiedziała, przytaczając słowa Fiodora Dostojewskiego, że narody Europy Środkowej są „z jednego szaleństwa”. Z szaleństwa socjalizmu. Do dziś tragedia i piękno idą razem. Patrzymy na tragedię i wydaje się ona piękna i to jest najstraszniejsze.

Książka Aleksijewicz, tak jak wszystkie poprzednie, zbudowana jest z wielogłosu, który z czasem układa się w spójny, mimo oczywistego braku logiki ludzkich losów, wykład na temat życia w poradzieckiej Rosji: „Wszyscy byliśmy za pierestrojką. Za Gorbaczowem. Ale nie za tym, co z tego wyszło...”

Tym razem białoruska pisarka i dziennikarka spisała relacje świadków z wydarzeń przełomu: upadek Gorbaczowa i jego *idée fixe* – socjalizmu z ludzką twarzą – zakończony internowaniem ostatniego sekretarza partii i pierwszego prezydenta ZSRR na krymskim Foros, pucz moskiewski, rozpad Związku Radzieckiego i okres nadziei na lepsze życie, które miał przynieść młody kapitalizm ery Borysa Jelcyna. Wszyscy rozmówcy Aleksijewicz, bez wyjątku, sięgają głębokich emocji, opowiadając własne życiorysy. Dziennikarka słucha ich uważnie, z rzadka monolog staje się dialogiem, choć uważni czytelnicy usłyszą niezadane pytania, zrozumieją dwuznaczności odpowiedzi. Rzadko pisarka wypowiada słowa sprzeciwu. Nie ujawnia własnych poglądów i przemyśleń, nie promuje siebie. Wspólnotę doświadczeń tylko raz potwierdzi płaczem.

Wyłaniająca się z utworu figura *homo sovieticus* to *persona non grata* świata kapitalistycznego. Nieoczekiwanie z tłumu wychodzi niechciana jednostka nieradząca sobie z życiem na obcej planecie własnego okrojonego imperium po katastrofie przemian politycznych. Nie łamie jej jednak transformacja ustrojowa *per se* związana zawsze i wszędzie ze zmianą wierzchołka, ale wolny rynek. Przykładowo niechęć do Michaiła Chodorkowskiego, oligarchy i milionera lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, nie ma fundamentu politycznego, tylko ekonomiczny – to ten, który zrabował państwowy majątek, ponieważ szybko się zorientował, co niosą przemiany. Powszechna jest wśród wielu Rosjan opinia, że zbudował fortunę Jukosu na tym, co udało mu się ukraść – jak pierwszy milion każdemu bogaczowi.

Zamiast demoludów – „demokracji”, „katastrojka”, „gorbaczowizm”. Język rosyjski szybko reaguje na rzeczywistość historyczną. W tym czasie największą karierę semantyczną robi jednak *sowok* – charakterystyczna rosyjska zbitka słów *homo sovieticus*. O ile pierestrojka i głośność odeszły z języka razem z czasami przemian i szybkich rozczarowań – o tyle *sowok* dalej ma się świetnie, trwa, nie tylko w języku – ba, przede wszystkim w świadomości jego użytkowników.

Według Zinowiewa (twórcy pojęcia) *homo sovieticus* zrodzony przez radziecki system nie jest w stanie funkcjonować na emigracji. Wychowany w przeświadczeniu zła demokracji, nie przestaje jej

krytykować, nie zauważywszy wartości – możliwości, które niesie. Uruchamia mechanizmy obronne: boi się, jest niesamodzielny, zależny od władzy, nieodpowiedzialny i słaby, wciąż tęskni za żoną (Michał Heller). *Sowok* Zinowiewa łączy najgorsze cechy radzieckiego człowieka – konformizm, uległość, miałość charakteru i trywialność postaw.

Tymczasem słabość *homo sovieticus* pozostawionego nagle bez opieki, samego, nagiego w groźnym lesie samostanowienia i uwolnionej gospodarki rodzi się ze strachu. Dumni mieszkańcy byłego imperium zasklepili się we własnym mieszkaniu, jak w ostatnim bastionie wolności, prawomyślności i wierności idei – porządku. Rozmówcy Aleksijewicz wspominający przebrzmiałą epokę budowniczości komunizmu, pamiętają te czasy jako okres wartości innych niż tylko materialne: w ich opowieściach króluje kultura wysoka, w relacjach pojawiają się spektakle teatralne, ważne lektury, wielcy bardowie: Wysocki, Okudźawa, Galicz... Gdzie teraz znaleźć czas i ochotę na *ogoniok*, skoro liczy się tylko kasa. Dobrze oddaje ten stan niniejszy cytat z najnowszej książki Aleksijewicz:

Inteligenci wyprzedawali biblioteki.

Oczywiście, wielu zubożało, ale nie dlatego pozbywano się książek z domu, nie tylko z braku pieniędzy. Chodziło o to, że książki ludzi rozczarowały. To rozczarowanie było całkowite. Pytanie: „Co teraz czytasz?” brzmiało już nieprzyzwoicie. Zbyt wiele zmieniło się w życiu, a książki o tym nie mówiły. Rosyjskie powieści nie uczą, jak

osiągnąć sukces. Jak zostać bogatym... Obłomow leży na kanapie, a bohaterowie Czechowa cały czas piją herbatę i utyskują na życie... (...). Mało kto z nas pozostał taki, jaki był. Przyzwoici ludzie gdzie się pochowali. Wszędzie tylko łokcie i zęby...

We wszystkich relacjach jak bumerang wraca motyw wyobcowania i poniżenia. Przed rewolucją 1917 roku Aleksandr Grin napisał: „A przyszłość jakoś przestała być na swoim miejscu”. „Minęło sto lat i znowu przyszłość nie jest na swoim miejscu. Dostały się nam czasy używane, czasy *second-hand* (...). Dzierżyńskiego zwałono, ale Łubianka została. Budujemy kapitalizm pod przewodnictwem KGB”.

W realiach postgorbaczowowskich wybawieniem od wstydu życia pozostaje tylko śmierć. Byli profesorowie, nauczyciele akademicy i powiatowi, generałowie i żołnierze, urzędnicy i zwykli „radzieccy ludzie” rzucają się z okien, mostów, balkonów i na torowiska. W tandetnych mieszkaniach, ciuchach, pozach – walczą o swoją ludzką godność w tych, ich zdaniem, odhumanizowanych czasach, ale również wierność historii, własnego w niej udziału oraz wspomnień. Wybierają ostateczne rozwiązanie, walcząc o dobre imię i – paradoksalnie – o sens życia, a ich śmierć dla większości niezrozumiała, tragicznie niezauważalna, częstokroć jest tak samo tandetna, jak robiące oszłamiającą karierę marmurkowe dzinsy i ortalionowe dresy.

Książka Aleksijewicz nie jest epitafium dla systemu (pojęcie Lucjana Suchanka),

ale studium zła, w którego oczy zaglądając, można łatwo ulec fascynacji i się w nim zatracić.

Joanna Grodzka

